

" Lotem ptaka " II / 2050

Nadszedł dzień 1 września 1939 r.

Czarne chmury już zbierały się nad pogodnym niebem wcześniej. Lecz czy ktoś, a szczególnie 11-letnia dziewczynka mogła myśleć o tym, że właśnie ta wojna rzuci ją i jej rodziców z ukochanego, rodzinnego miasta nad Niemnem w dalekie kraje o których tylko można było marzyć, lub wodzić palcem po mapie.

I tak właśnie się stało. Wczesnym rankiem 1 września Polskie Radio nadało tę okrutną wiadomość, że Niemcy wypowiedzieli wojnę Polsce i już zaczęły się bombardowania.

Ja co prawda nie bardzo się tym przejęłam, gdyż nie wyobrażałam co to jest wojna, co z sobą niesie.

Skrycie myślałam - jak to dobrze, że nie pójdę do szkoły, bo chyba wszystkie dzieci tak myślały, że to przejdzie niepostrzeżenie i za miesiąc znów wszystko wróci do normalnego stanu.

Lecz niestety zaczęły się kłopoty z zaopatrzeniem, młodzi ludzie szli do wojska, ewakuowano do Wilna niektóre instytucje.

Właśnie wówczas ojciec mój został ewakuowany z Wojskowym Sądem Rejonowym do Wilna i wszelki ślad na jakiś czas po nim zaginął.

Obie z mamą zostałyśmy w naszym mieszkaniu w Grodnie, aby doczekać się dnia 17 września 1939 r. wkroczenia Armii Radzieckiej.

Jakież to był okropny widok. Wjeżdżały do miasta czołgi, na nich żołnierze o nieprzyjemnych twarzach, wielu z nich pochodziło z Uzbekistanu, lub innych terenów ZSRR, bo wygląd ich wskazywał na to. Strach ogarniał.

Kryłyśmy się z mamą za firankami w oknach, aby zobaczyć "armię wybawicieli". Polacy tak łatwo się nie poddawali, rzucali na czołgi butelki z benzyną, podpalali. Obrona nie trwała długo.

Po wkroczeniu całe miasto ogarnął strach. Odrazu zaczęły się rewizje, przesłuchania - szczególnie w domach wojskowych, policji, inteligencji, wyrzucanie z mieszkań, aresztowania, a następnie wywożenie w bydłych wagonach w głąb Związku Radzieckiego do Archangielska, na Syberię, do Katakstanu.

W tym czasie zrobiono u nas rewizję - oczywiście nic nie znaleziono, ale dostałyśmy nakaz opuszczenia domu w ciągu 48 godzin z dobytkiem, który mogłyśmy unieść.

Dorobek życia moich rodziców pozostał dla kogoś kto tam nie dołożył cegiełki - dla oficera radzieckiego, który potrzebował porządnego, ładnie urządzonego mieszkania.

Jeszcze wróć do mego ojca, który znalazł się w Wilnie. W dniu w którym wkraczała armia radziecka ojciec mój przechodził przez Zielony Most na Wilii, gdy zaczęła się strzelanina i wjechały czołgi. Ponieważ nie miał już odwrotu przeleciała myśl, że tu już zginie. Lecz w pewnej chwili

radziecki oficer wychylił się z czołgu i krzyknął w stronę mojego ojca "towaryszcz łożysz". Ojciec rzucił się na ziemię i jeszcze przykrył swoim płaszczem lo letniego chłopca, który się też tam znalazł. Wiele osób wówczas zginęło, lecz mój ojciec uratował się dzięki temu oficerowi.

Po demobilizowaniu ojciec udał się do swojej matki, która zamieszkiwała na Wileńszczyźnie. Nie wiedzieliśmy, gdzie szukać ojca, ale mama zdecydowała, że pojedzie do Wilna i może się czegoś dowie. Niestety nikt nie umiał udzielić odpowiedzi w związku z czym udała się do babci i tam odnalazła ojca. Podróż miała okrapną w zatłoczonym pociągu dojechała do stacji Stasiły, aby od stacji iść pieszo 6 km. przez olbrzymi las nocą i sama. Ale podróż ta została uwieńczona sukcesem.

Następnie wróciła do Grodna i obie z walizkami i tobołkiem pościeli przyjechałyśmy do babci.

Tam zaczęło się niby normalne życie. Zjechało się nas sporo, tak, że trudno było się zmieścić, a było nas trzy rodziny.

Każdy z nas miał swój przydział pracy. Trzeba było gotować, sprzątać. Zaczęły się też trudności z zakupami. Brak cukru, nafty - choć i tak było spokojniej, gdyż Wilno wraz z okolicami zostało przydzielone hojną ręką republice litewskiej.

Będąc u babci zaczęłyśmy chodzić na jagody, jesienią na grzyby, gdyż okolice obfitowały w nie. Łatwiej było żyć, gdyż zawsze można było coś przyrzędzić dla naszej gromadki.

Mieszkaliśmy tam od jesieni 1939 r. do jesieni 1940 r.

Następnie rodzice moi ze względów rodzinnych zdecydowali się odłączyć i wystarali się o ulokowanie nas w punkcie uchodźczym w Czarnym Borze 12 km. od Wilna. Tam już zamieszkiwało sporo Polaków, którzy uciekali przed Niemcami. Uciekali na wschód licząc, że tam będzie spokojniej i lepiej. Może dla niektórych tak, ale my nie zazналиśmy spokoju.

14 czerwca 1941 r. wczesnym rankiem załadowano nas na ciężarówkę i odtransportowano do Nowej Wilejki, aby ponownie załadować nas do bydłowych wagonów po 70 osób i wywieźć w głąb ZSRR.

Jechaliśmy 3 tygodnie w warunkach tragicznych, bez wody, bez jedzenia po strachem, że nie dojedziemy, gdyż ludzie zaczęli już chorować, a nawet umierać. Żywiliśmy się resztkami naszego prowiantu, dwa razy w ciągu 3 tygodni dostaliśmy nędzne pożywienie, oraz 1 raz wypuszczono nas z wagonu, aby się rozprostować i trochę umyć. Właśnie podczas tego odpoczynku dwaj młodzi ludzie uciekli z naszego wagonu, wrócili do Polski i walczyli w Armii Krajowej na terenie Wileńszczyzny.

W takich warunkach dojechaliśmy do Ałtajskiego Kraju - stacja Rubcowsk.

między Siemipałatyńskiem, a Barnaułem.



W Rubcowku werbowano nas do pracy. Były dwie możliwości: kołchoz, lub alabastrowyż zawod. Wybierano nas tak jak na targu niewolników. My trafiliśmy do alabastrowego zawodu. Ponieważ mój ojciec był inwalidą z 1920 r. nie mógł pracować fizycznie został przydzielony do pracy w kantorze, ponieważ znał język rosyjski, mamę przydzielono do pracy fizycznej - ciągała po szynach wagoniki pełne alabastru. Ja miałam wówczas, lat 13-cie, nie nadawałam się do pracy/w/g ich przepisów/ więc musiałam zająć się naszym gospodarstwem.

Był to obskurny barak. Dla naszej trójki przypadała jedna izba, ale chociaż chroniła przed deszczem i upałem, a zimą przed wiatrami i mrozem. Zaznaczam, że lata na Syberii są krótkie i upalne, natomiast zimy długie i bardzo mroźne.

Ja realizowałam dostawy prowiantu. Kupowałam trochę warzyw na bazarze, zbierałam na stepie szczaw, który gotowałam na wodzie, bo mięsa ani tłuszczu nie było. Czasem dolałam trochę mleka, aby zabielić tę wykwinną zupę. Był to posiłek główny. Na śniadanie i kolację po kawałku czarnego chleba. Mieliśmy zagwarantowany chleb na kartki / dla pracujących 0,40 dkg, dla niepracujących takich jak ja 0,20 dkg. dziennie/ razem dostawaliśmy 1 kg. dla naszej trójki.

Ale co to był za chleb? 1 kg. gliny, bo tak smakował, ale grunt, że był. Choć też nie zawsze.

Przytoczę taki fakt, który utkwił mi w pamięci najbardziej.

Był jesienny ranek, rodzice poszli do pracy, a ja zasnęłam i dość późno poszłam po przydział chleba. Niestety już chleba nie było, ale nadal stała długa kolejka czekająca na swój przydział. Po jakimś czasie wyszedł piekarz i powiedział, że coś się zepsuło i nie będzie chleba, lecz w zamian dadzą nam tyle ciasta ile wynosi przydział t.j. 1 kg. ciasta. Cóż miałam z tym robić? Biegłam do baraku niosąc w swoich małych rękach ten kawałek ciasta, aby nie uronić ani trochę tego tak cennego daru. Dopiero gdy mama wróciła z pracy na przerwę obiadową uspokoiła mnie, utuliła płaczącą i upiekła na blasze placki. Jakie one były wtedy dobre, gdy jeszcze skropiłam je swoimi łzami. Bardzo się wstydziałam tego, że zasnęłam i nie dostałam chleba, ale serce matki jest wyrozumiałe - pocieszała mnie jak tylko mogła, aż mnie przeszedł żal. Pobył w alabastrowym zawodzie trwał do późnej jesieni. Rodzicom udało się przenieść do miasteczka Rubcowsk, tam wynajęliśmy kącik u rodziny Kambarowych. Ojciec mój zajął się "handlem". Miał mały sklepik, oczywiście państwowy w którym miał sprzedawać buty, ale tylko dwa razy dostarczono tenisówki, których ludzie nie kupowali bo nadchodziła zima i czekali na walonki.

Mama w tym czasie pracowała w składzie zboża, nosząc worki na plecach.

Z braku witamin i odpowiedniego jedzenia dostała na ramionach czyraków i nie mogła nosić worków. Zgłosiła się do lekarza, ale zwolnienia nie otrzymała ponieważ nie miała temperatury.

Z pomocą mamie przyszedł brygadzysta, który na swoją własną odpowiedzialność zwolnił mamę od noszenia worków, przez trzy dni liczyła mama worki ze zbożem przygotowane do wysyłki. Niemożna powiedzieć, że wszyscy Rosjanie to źli ludzie, niektórzy okazywali serce wtedy kiedy to nie zagrażało ich życiu, lub pracy.

W naszym mieszkanku często schodzili się Polacy, aby wspominać dawne czasy, ponażekać na obecną, posłuchać szczekaczki, która donosiła o walkach z Niemcami. Różne były zdania ludzi na temat wojny, ale trzeba było bardzo uważać co się mówi, bo ściany miały uszy.

Witka Kambarow był to chłopak w moim wieku-komsomolec. Chciał się wyróżnić w organizacji i donosił co się u nas w domu dzieje. Opowiadał, że ojciec mój namawia Polaków do buntu, że Polacy się zbierają i narzekają na warunki, na pracę. Kiedyś, gdy nas nie było w domu wygrzebał zdjęcia, które udało nam się zabrać z Grodna i stwierdził, że ojciec mój to bardzo wysokiej rangi wojskowy i trzeba się go ~~wystrzegać~~ <sup>pozbyć</sup>. Tak nam powiedziała jego babcia-kobietę staruszka i kazała wystrzegać się tego chłopca. Nie było z tego tytułu żadnych przykrości, ale byliśmy bardziej uważni.

Zupełnie niespodziewanie nadszedł dzień w którym szczekaczka podała wiadomość, że Gen. Sikorski podpisał układ ze Stalinem i wszyscy Polacy na terenie Zw. Radzieckiego są wolni i mogą poruszać się po kraju. Poza tą wiadomością najważniejsza, że tworzy się Armia Polska i mężczyźni mogą się zgłaszać. Ja najbardziej zapamiętałam miejscowość Buzułuk, bo tam od razu pojechał mój ojciec, oraz paru mężczyzn. Była to dla nas wielka radość, mimo, że wiedzieliśmy, że nastąpi rozstanie, czy czasem nie na zawsze? Podświadomie przychodziła myśl do głowy, że może ojciec mój nie zostanie przyjęty, ponieważ jest inwalidą, z drugiej strony liczyliśmy się z tym, że zawsze był zawodowym żołnierzem i mimo inwalidztwa pracował w wojsku.

I tak się stało, został przyjęty i podjął pracę w sądzie wojskowym.

W tym czasie obie z mamą i innymi towarzyszkami niedoli udałyśmy się w podróż na południe, bo tam miało być lepiej i cieplej. I jakież to był błąd. Błąkaliśmy się różnymi pociągami po całym południu Zw. Radz. Nasze pociągi stały całymi dniami na bocznicach, a przepuszczano transporty na front, bowiem wojna trwała i armia radziecka ciągnęła na zachód.

Zaczynał doskwierać głód, choroby, brak leków, zaczęli ludzie padać jak muchy. Tyfus i dyzenteria zbierały żniwo. Zaczęły się pogrzeby-chcę wyjaśnić jak one wyglądały. Umarłego zawijało się w prześcieradło, jeśli jeszcze ktoś miał i zostawiało na stacji, a później jacyś pracownicy zabierali i grzebali na cmentarzach. Ile osób straciło w ten sposób swoich najbliższych-nie wiedzą nawet gdzie ich szukać. Czy tam ktoś się martwił o umarłych, jeśli nikt nie